

Wszyscy jesteśmy cyberżułami

z Łukaszem Podgórnim,
Leszkiem Onakiem
i Piotrem Puldzianem Płucienniczakiem
rozmawiają Katarzyna Trzeciak i Michał Sowiński

od lewej: Łukasz Podgórn, Leszek Onak i Piotr Puldzian Płucienniczak
fot. Alicja Pałeczka



Nie można już uciec od ludzi. To jest przerażające. Algorytmy aplikacji na podstawie naszej wcześniej aktywności budują nam świat, który ma być naszym odbiciem, ma być naszym Eldoradem Danych. A może ja nie chcę tego doskonałego świata?

Katarzyna Trzeciak: Wasz manifest sprawia wrażenie bardzo antysystemowego, mocno godzi w zastany rynek książki. Piszecie, że papier się kończy, że „zdycha” dotychczasowy sposób wydawania książek. Ale czy nie jest to wszystko zbyt oczywiste? Bo Wasza antysystemowość polega na tym, że wydajecie za darmo coś, co na prawach tradycyjnego systemu wydawniczego nie mogłoby istnieć.

Łukasz Podgórni: Nie do końca. Nasza krytyka stanu zastanego wynika z doświadczeń z rynkiem wydawniczym. Chodzi o to, że system działa wadliwie. Książki poetyckie docierają do bardzo wąskiego grona odbiorców. Także ich jakość wydawnicza często pozostawia wiele do życzenia. Nam chodzi o zaproponowanie innej formuły – żeby wprowadzać jawnie to, co od dawna działa niejawnie, czyli nieoficjalny sieciowy obieg poezji. Wszyscy przecież, czytelnicy i twórcy, wymieniamy się swoimi plikami.

Leszek Onak: Papierowe tomiki poetyckie wydawane są w nakładzie 200–300 egzemplarzy. Szybko znikają z dystrybucji – praktycznie nie ma szans na dotarcie do książek sprzed 8–10 lat. Zamieszczamy nasze publikacje w internecie i każdy w dowolnej chwili może pobrać je za darmo. Co więcej, wszystkie nasze teksty publikujemy na licencjach Creative Commons – każdy

czytelnik może je dowolnie odtwarzać, remiksować, a także swobodnie dystrybuować dalej.

Michał Sowiński: A jak wyglądają statystyki? Ile osób przeciętnie ściąga Wasze teksty?

Ł.P.: Różnie, ale zawsze jest to kilka razy więcej odsłon i pobrań, niż wynosi przeciętny nakład papierowego tomiku poezji. Na przykład tomik Kamila Brewińskiego *Clubbing* w ciągu pierwszego półrocza od premiery przeczytało około 1000 osób. Do tego trzeba doliczyć kopie, które krążą po sieci niezależnie od nas.

K.T.: Czasem wydajecie w papierze, i do tego, jak podkreślacie, cynicznie wykorzystujecie różnorakie dotacje.

Ł.P.: To było na początku i zrobiliśmy to tylko dwa razy. Ja nie znoszę wypełniania i potem rozliczania tych wniosków. Zabija to całą radość...

Piotr Pułdzian Plucienniczak: Ale nasza działalność nie ma charakteru bezpośrednio antysystemowego. My nie obrzucamy błotem, chociaż... OK, raz obrzucaliśmy, gdy wyśmiewaliśmy program promocji poezji organizowany przez Michała Rusinka. Ale to był jedyny punkowy gest. Poza tym mamy cały system gdzieś. Nie interesuje nas to.

L.O.: Papier wykorzystujemy głównie ze względu na autorów... Nie wszyscy recenzenci chcą czytać elektroniczne pliki. Nie da się też zgłosić publikacji na żaden ważny konkurs, jeśli nie posiada ona tradycyjnej formy. Papierowe wersje są gadżetem, zrezygnujemy z niego, gdy ten stary system się zaktualizuje – miejmy nadzieję, że też przy naszym udziale. Jak wspomniał Łukasz, przysparza on nam samych kłopotów, bo trzeba starać się o dotację i tak dalej.

M.S.: Wszystko robicie sami?

L.O.: Większość tak, czasem działamy na zasadzie wolontariatu, prosimy o pomoc znajomego... Wszystko zostaje w rodzinie. Inna rzecz, +

mamy bardzo ostrą selekcję tego, co wydajemy. Zgłasza się do nas sporo osób, my jednak wybieramy 2–3 rzeczy rocznie. Niektórzy myślą, że skoro jesteśmy w internecie, to możemy wydawać co miesiąc albo nawet częściej. Ale to nieprawda. Ciężko pracujemy nad każdą publikacją, starannie przygotowujemy ją do wydania. To nam zabiera bardzo dużo czasu.

M.S.: A co z działalnością masowego upowszechniania kultury, o której piszecie w manifestcie?

L.O.: Promujemy remiksy literackie. Planujemy serię wydawniczą Kanon ~Literatury Popierdolonej, polegającą na udostępnianiu tekstów literackich, które są w domenie publicznej. Nasz pomysł opiera się na tym, że chcemy te teksty poddawać partyzanckiej redakcji.

Ł.P.: Gonzo redakcji. Teraz na warsztacie mamy *Kollokację* Józefa Korzeniowskiego, z którą są problemy, bo teksty, przypisy i inne materiały gromadzące się wokół samej powieści zaczynają nam się rozrastać do niedorzecznych rozmiarów.

M.S.: Ale to wciąż nie jest to, co postulujecie w Waszym manifestcie. Określacie siebie naśladowcami Jezusa, który był pierwszym piratem – kopiującym żywność poza głównym obiegiem. Co w takim razie z Waszym piractwem?

L.O.: Nie mamy w planach żadnych akcji wywrotowych, które mają uderzyć w obecny system dystrybucji. Zresztą on powoli kończy się sam. Kierując się myślą: „nie palcie komitetów, zakładajcie własne”, budujemy, powiedzmy, własną Tymczasową Strefę Autonomiczną, w której proponujemy naszym odbiorcom inny moduł pozyskiwania i odbierania treści. Warto też wspomnieć o tym, że Rozdzielczość Chleba to nie tylko wydawnictwo, ale i grupa zrzeszająca ludzi o podobnych zainteresowaniach estetycznych. Bardzo często występujemy publicznie z cyberpoetyckimi performansami,

prowadzimy kilka stron, na których eksperymentujemy z językiem, obrazem, dźwiękiem i interakcją z użytkownikami. Nie wszystko widoczne jest na naszej stronie. I tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Jeżeli obecny interfejs poetycki, współczesną tradycyjną poetykę pisaną potraktujemy jako system, nasze działania można nazwać antysystemowymi. Bardzo często podczas naszych wystąpień uderzamy w pawilony magnetofonowych włodarzy, którym wydaje się, że wystarczy nagrać się na dyktafonie, a potem spisać słowa na papier, by zarejestrować to, co dzieje się wokół.

M.S.: A w którą stronę chcecie się rozwijać? Jakie są dalsze plany?

Ł.P.: W tym roku planujemy nowy manifest. Roboczo nazywamy go „manifestem cyberżulerstwa”. Wszyscy już odczuwamy zmęczenie retoryką wolnościową internetu. Pod poprzednim manifestem wciąż się podpisujemy, ale nieco inaczej. Czujemy się teraz zmęczeni internetem – siedzimy przed kompami cały dzień, żyjemy nimi, ale jednocześnie mamy ochotę się na nie wyrzygać.

K.T.: Czyli cyberżulerstwo to krok dalej w stosunku do wcześniejszej rewolucji internetowej?

Ł.P.: Tak, to już następny etap po zachwycie cyfrowością, której zawdzięczamy między innymi to, że musimy łączyć internet.

L.O.: Jak żule pod monopolowym. Oni wiedzą, że to tanie wino jest podłe, ale nie stać ich na inne i już nie potrafią inaczej. Są uzależnieni.

Ł.P.: Różnica między nami a na przykład zachodnią sceną literatury cyfrowej polega na tym, że na Zachodzie twórcy mają często na stanie świetny i drogi sprzęt, więcej czasu i może lepszy przepływ gotówki. A my używamy sypiącego się sprzętu i jakichś kuriozalnych freeware'owych rozwiązań, co nas trochę wyklucza i co robi z nas cyberżuli!

K.T.: Czyli może Wasze piractwo można określić właśnie przez pojęcie cyberżuła? Bo ma ono duży potencjał krytyczny i dopiero pokazuje, że nie ma żadnej wolności, że zachwyty nad wolnością w internecie jest fałszywy, bo tak naprawdę wszyscy jesteśmy cyberżułami...

Ł.P.: Dokładnie, nie ma żadnej głupiej wolności. Internet to kolejne getto, w którym można tylko pić swoje cyberjabłko.

L.O.: Przytłacza mnie gwałtowny rozwój mediów społecznościowych. Jestem z natury samotnikiem, a tutaj, w moim domu, codziennie goszczę tysiąc znajomych, którzy opowiadają mi, co zjedli, co przeczytali, co zobaczyli. Nie

wiadomo, jak się od tego uchronić, nie pomaga sprząkanie strumienia danych. Nie można już uciec od ludzi. To jest przerażające. Algorytmy aplikacji na podstawie naszej wcześniej aktywności budują nam świat, który ma być naszym odbiciem, ma być naszym Eldoradem Danych. A może ja nie chcę tego doskonałego świata? A może to, że kiedyś musiałem ręcznie wpisać adres w pasku przeglądarki, więcej mi dawało niż dostosowane wyniki wyszukiwania? Chcę komputera, który byłby obcym przedmiotem. Nie był przedłużeniem mojej osoby. To jest szerszy temat, o którym opowiemy w kolejnym numerze „Nośnika”.

